Należytość pocztowa opłacona gotówką.

Murzynek



Nakładem
Sodalicji św. Piotra Klawera
dla misyj afrykańskich.

Rok XVI. Kwiecień 1928. Nr. 4.

„Murzynek“ katolickie, ilustrowane pisemko misyjne dla dzieci i młodzieży, wychodzi w języku polskim, francuskim, włoskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim, czeskim, słoweńskim i węgierskim.

Prenumerata roczna 1·50 Złp., 1 M., 35 am. cts.

Prenumeraty i ofiary

przesyłać można pod następującemi adresami:

Warszawa: Sodalicja Klawerjańska ul. Warecka 10, m. 5. — **Kraków:** ul. św. Marka 25. — **Poznań:** ul. Szymańskiego 6. — **Wilno:** ul. Sawicz, 1 m. 4. II. p. — **Częstochowa:** ul. Panny Marji, Nr. 73 (aleje). — **Gniezno:** p. Anna Potulna, ul. Kolegjaty 2. — **Kielce:** p. Marja Kasperska, ul. Bazarowa 16, m. 8. — **Siedlce:** p. Jan Sapiecha, ul. Warszawska 10. — **Bielsko,** Piłsudskiego 7. — **Łódź,** p. Ignacy Dubas, ul. Przędzalniana 55. — **Lwów,** p. Fedaszówna, ul. Sadownicka 89, albo p. Berezowski Józef, ul. Kurkowa 65. — **Wrocław:** Hirschstrasse 33. — Adres Domu głównego: **Rzym,** Roma (23), via dell' Olmata, 16.
Ameryka: Sodality of St. Peter Claver 3624 West Pine Blvd. **St. Louis, Mo.**

Numer konta P. K. O.: Warszawa 1.188. — Kraków 142.248. — Poznań 200.015.

OFIARY NADESŁANE

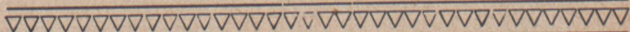
w miesiącu grudniu 1927 r.

Dla dzieci murzyńskich: p. Sas 5.— zł.; Ochrona SS. Felicjanek w Dziedzicach 6.63; L. Scholcówna 5.—; p. Angrabajtys 10.—; Ks. Januszewicz 5.—; E. Ignaszewska 5.—; Szkolne Kółko misyjne w Świń. Warce 8.—; Ks. J. Michalewski 20.—; SS. Dominikanki w T. 5.—; Ks. J. Strzelecki od dzieci szkolnych w Bielinach 8.—; C. Arwajowa 20.—; M. Koziebrodzka 19.—; p. Jeskowa z B. zebrane przez synka 5.—; Prusowa z I. jako podziękowanie i prośba 10.—; Michalakó-



O Marjo, Matko Dobrej Rady, módl się za nami!

...Gdy w złej przygodzie rady nam potrzeba,
A nie pomoże żadna dusza żywa,
Radę skuteczną racz nam zesłać z Nieba,
O Ty Stolico Mądrości prawdziwa!...



Wyzwolony z podwójnej niewoli.

Było to w marcu. Wróciłem co dopiero od Księdza Biskupa z Mpali i znalazłszy się sam u siebie, co się nie często zdarza, zabrałem się do pisania. W tem usłyszałem ciche stąpanie za drzwiami. Następnie rozległ się donośny głos: „Otóż jestem, Ojcze! Karibu przychodzi!“. W tej samej chwili wszedł do pokoju murzyn i zbliżył się do mojego stołu. Stanął przedemną, nie mówiąc słowa. Sądząc z tatuowanej twarzy, zdawał się należeć do plemienia Mluba. Wesoły uśmiech wkoło ust odbijał dziwnie od rysów, ból zdradzających. Ponieważ przybysz nie przerywał milczenia, odezwałem się pierwszy:

— Mój przyjacielu, czego sobie życzysz?

— Ojcze, przybyłem aby cię powitać — i to wszystko!... Wiesz bezwątpienia, kim jestem.

Przyglądałem się z uwagą tej dziecinnej jeszcze twarzy, przywołując na pamięć wszystkie wspomnienia.

— Przyjacielu, mam wrażenie, żem cię gdzieś widział już, lecz niestety nie mogę sobie przypomnieć gdzie.

— Ojcze, przypatrz mi się dobrze, toć znasz mnie przecież. Jestem Kaite, uczeń z Lukulu.

Kaite! Lukulu! Wspomnienia budziły się. Pomimo to jednak nie mogłem sobie chłopca przypomnieć. Coraz bardziej zaciekawiony, wtrącam na chybił trafił:

— Jakto, więc ty jesteś Kaite, syn Kalnudasa? Miałem cię od dawien dawna, od dziewięciu lat przynajmniej za zmarłego.

— Nie, Ojcze, nie umarłem, sprzedano mnie do niewoli, lecz na szczęście Ojcowie stacji misyjnej Mpala wykupili mnie. Szczery i otwarty uśmiech znikł nagle, a głos mu zadrżał.

Czyżby biedny murzyn w tych niewielu słowach potrącał o przeszłość, która przejmowała zgrozą?

— Słuchaj Ojcze. Czy pamiętasz, że wówczas, gdy kończyłem szkołę w Lukulu, umarł mi ojciec? Tyś mu dał przed śmiercią lekarstwo, by mógł na nowo żyć w pięknym kraju, gdzie niema ani lwów, ani czarowników. Matka zaś moja, jak ci wiadomo, przedtem jeszcze umarła.

— Tak, mój przyjacielu, obecnie przypominam sobie dobrze te smutne zdarzenia. Opowiedz mi jednak twoją historję.

— Matka moja nazywała się Jumba. Po jej śmierci pozostało przy ojcu czworo dzieci: dorosły brat Mumba, dwie siostry Kiluba i Lumb-

wa i ja. Płakaliśmy bardzo, gdy matkę pochowano. Również ojciec był bardzo smutny; niebawem też zachorował i umarł. Zaledwie go złożono do ziemi, a już synowie jego siostry, Kahutu i Simbi, przybyli do nas i zabrali do siebie. Mnie wziął Kahutu, Simbi zaś zabrał mego brata. Obie siostrzyczki zaprowadził jeszcze za życia ojciec do chaty Kahuty, by się niemi jego żona zaopiekowała. Kahutu mieszkał we wsi Kabembie, nad rzeką Luizą. Przybyliśmy tam po trzydniowej wędrówce... Wiesz, Ojcze, że Kabemba jest jak ta kraina, o której mi Ojcowie z Mpali opowiadali, kraina, której Twórca jest Ojcem wszystkich ludzi. Kahutu kochał mnie jak własne dziecko. Chodziłem z nim do lasu, nosiłem mu strzały. Biedne moje siostry jednak nie zaznały czułości w domu nowego opiekuna. Traktowano je jako dwie niezdatne sługi, które tylko wszędzie każdemu w drogę wchodzą i dzień cały próżniaczą. A że były zbyt młode i zbyt słabe, by móc utrzymać w ręku i najlżejszą motykę, więc przeznaczono je do noszenia wody. Kahutu z widoczną niechęcią znosił obecność Kiluby i Lumbwy. Pewnego dnia rozgniewał się tak na dziewczęta, że powiedział: „Zabierajcie manatki i ruszajcie do Lukulu. Już dłużej żywić was nie będę“... Kiluba i Lumbwe zaczęły serdecznie płakać na te słowa, ponieważ do Lukulu trzeba było iść przez ogromny las, którego się bardzo biedaczki bały. I ja również płakałem na myśl, że moje ukochane siostry mogą pobłądzić w gęstwinie. Niestety, ani płaczem, ani prośbą nie udało nam się zmiękczyć serca tego okrutnika. Kiluba i Lumbwa zostały wypędzone z chaty Kahuty na zawsze.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W jaki sposób została Małgosia Siostrą Misjonarką.

(Dzieje Siostry misyjnej pracującej obecnie w Afryce.)

(Dokończenie).

Lecz jeszcze jedną walkę trzeba było stoczyć Małgosi. Dotąd prawie że nie myślała o tem. Zostać Siostrą misyjną w Afryce — toć to znaczyło pożegnać się ze wszystkiem, co kochała, co jej było tak drogie; to była rozłąka na zawsze z rodziną, z ojczyzną... Otrzymała zapewnienie przyjęcia do jednego z domów misyjnych. Ucieszyło ją to, ale jednak... im bliższy był dzień odjazdu, tem ciężej, tem boleśniej robiło się jej na sercu. Dwa głosy odzywały się naprzemian w jej wnętrzu, zwalczały się wzajem. Jeden napominał spokojnie i cicho: „Nie możesz się sprzeniewierzyć. Bóg cię woła". — Drugi narzucał się gwałtownie: „To niemożliwe, to za trudno; wszystko porzucać i odjechać tak daleko, aż hen do Afryki". Były to ciężkie godziny, a przytem trzeba było się taić na zewnątrz z tem, co szalało w duszy. Boć w przeciwnym razie nazywałoby się odrazu: „Więc po co chcesz odjeżdżać, zostań z nami, nikt cię przecie nie wypędza". — I tak wszyscy w domu byli bardzo smutni, że Małgosia tak daleko miała odjechać. Lecz głos wewnętrzny nie dawał jej spokoju. Wciąż na nowo upominał: „Bądź wierna, a Pan Jezus dopomoże ci przezwyciężyć wszystko".

I Pan Jezus dopomógł. Odważnie zwyciężyła wszystkie przeszkody. Mężnie pożegnała ojczyznę, ukochanych rodziców, dobrego wuja i wszystko, co kochała. Prawda, że była chwila, kiedy jej się zdawało, że nie wytrzyma. Ale jakoś poszło. A gdy po raz ostatni uklękła w uko-

chanym kościele, i podniosła wzrok na Tabernakululm, spłynęło na nią stamtąd męstwo i ufność wielka. Toż w tej chwili mogła dać sobie to świadectwo: „Ja więc, jak dotąd, dotrzymałam słowa, teraz kolej na Pana Jezusa. Pan Jezus wysłucha napewno mojej prośby. On będzie ze mną; On nawróci ojca“.

I do serca Małgosi, które tyle dni walczyło w ciemnościach, zawitała pociecha i jasna, promienna radość. Wuj proboszcz odprowadził ją do furty klasztornej i kiedy ta się za nią zamknęła, rozpoczęło się dla Małgosi nowe, zupełnie inne życie. Czuła się bardzo, bardzo szczęśliwa. Nie było to wcale tak ciężko, jak sobie wyobrażała. Wewnętrzna radość i cichy spokój klasztoru łagodziły tęsknotę, oswajając ją powoli z obcem otoczeniem.

Po złożeniu ślubów, wybiła upragniona godzina odjazdu na misje. Przed wyjazdem do Afryki, pozwolono pojechać Siostrze Chryzantemie (tak się obecnie nazywała) raz jeszcze do rodziny, aby się z nią teraz na dobre, prawdopodobnie na zawsze, pożegnać. Radość z oglądania Małgosi, radość z jej szczęścia, które biło od całej postaci, nie da się opisać; tłumił ją tylko wzgląd na tak bliską rozłąkę, na daleki wyjazd. Tylko Siostra Chryzantema nie smuciła się już. Pozostała pogodna, wesoła, wszak była teraz tak bliska celu. Lecz kiedyż nawróci ojca? Wprawdzie opowiadała jej matka, że od czasu odjazdu Małgosi do klasztoru, bywał ojciec często poważny i milczący. Pozatem jednak nie zauważyła dotąd nic takiego, z czego mogłaby sądzić, że pragnie stać się na nowo praktykującym katolikiem. A więc trzeba w dalszym ciągu modlić się i ufać. Jej tatuś musi pójść do Nieba.

Godzina łaski miała jednak wybić dla niego dopiero po wielu latach. Siostrę Chryzantemę widzimy podówczas w dalekiej Afryce jako Siostrę nauczycielkę, otoczoną liczną gromadą kędzierzawych chłopców i dziewcząt. Czuje się szczęśliwa wpośród powierzonej sobie czarnej dziatwy, która ze swej strony kocha bardzo swoją młodą opiekunkę, tak dla nich dobrą, zawsze łagodną, cierpliwą. A kiedy nauczycielka ma jaką sprawę, którą polecić trzeba Bogu, stają jak jeden mąż do modlitwy na jej intencję.

Było to w październiku, kiedy Siostra Chryzantema odezwała się do dzieci w te słowa: „Moje dzieci, w tym miesiącu potrzebuję znowu waszej pomocy w modlitwie. Matka Boska Różańcowa musi nawrócić kogoś bardzo mi drogiego. Pomożecie mi prosić Ją o to?“ — Nie miałyby dopomóc?... ach, jak się modliły żarliwie! Po skończonej lekcji w szkole setka świeżych dziecinnych głosów wołała z przejęciem: „Święta Marjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi“, tak szczerze, z taką dziecięcą ufnością, że Siostra Chryzantema nie wątpiła w skuteczność tej modlitwy. Tak było przez cały miesiąc. Wkońcu oświadczyły dzieci: „Siostro, musisz nam też potem powiedzieć, gdy Matka Boska nas wysłucha; w przeciwnym razie znowu rozpoczniemy modlitwę“. Siostra Chryzantema przyrzekła, myśląc ze smutkiem o tylu już latach modlitwy o nawrócenie ojca, modlitwy, zdawało się bezskutecznej. Nie traciła jednak nadziei. Aż oto... czyżby Pan Jezus czekał był na modlitwę tych czarnych dzieci? W końcu listopada tegoż roku nadszedł list od wuja proboszcza, w którym tenże pisał: „Deo gratias! (Dzięki Bogu!) Obłożna choroba Twej matki, która o mało co nie za-

prowadziła jej do grobu, wprowadziła Twego ojca na drogę powrotną do Boga. Wyspowiadał się po przeszło 30 latach i jest odtąd wierzącym, praktykującym katolikiem".



Czuje się szczęśliwa wpośród powierzonej sobie dziatwy.

Cóż to było za szczęście dla Siostry Chryzantemy; byłaby prawie mogła głośno krzyczeć z radości. Wiadomo jednak, że serce ludzkie zbyt jest małe, tak na ogromną radość, jak rów-

nież i na smutek głęboki; tak jedno jak i drugie przygniata je; człowiek nie potrafi wyrazić tak bardzo silnych uczuć. Tak było i z Siostrą Chryzantemą; uklękła więc tylko przed Tabernakulum i z cichą łzą radości w oku, wyszeptała: „Drogi Jezu, oto dotrzymaliśmy teraz wzajemnie przyrzeczenia". Pan Jezus przystał był na jej dziecinny układ w dniu I Komunji świętej i spełnił w oznaczonej przez Siebie godzinie stawiony przez Małgosię warunek.

Odtąd kochała Siostra Chryzantema goręcej jeszcze wzniosłe swe powołanie i czarne maleństwa, które tak silnie umiały się modlić, że ich modlitwa rzeczywiście przebiła obłoki. Jakże się radowało całe ich grono, dowiedziawszy się od nauczycielki, że modlitwy odniosły pożądany skutek. Teraz znów prosiły z kolei, by chora matka wyzdrowiała, a nawrócony ojciec wytrwał przy Wierze świętej.

Matka Małgosi nie wróciła już jednak do sił i zdrowia; choroba przykuła ją do łoża na długie lata, pomimo to, była mężowi silną podporą, dzięki swej żywej wierze i niezachwianej ufności. U łoża chorej małżonki nauczył się ojciec Małgosi modlić się tak pobożnie, jak to czynił, będąc jeszcze chłopięciem u boku matki. Matka Małgosi umarła pierwsza, umarła spokojna i poddana Woli Bożej; dwa lata później pośpieszył za nią ojciec do wieczności; umarł jako wierzący katolik, pojednany z Bogiem, opatrzony Sakramentami świętemi. Ostatnie jego westchnienie było dla córki w dalekiej Afryce.

O czarnej szkolnej dziatwie

(Przez Białą Siostrę).

Rozpoczynam prawidłowym egzaminem z Katechizmu. Przy pierwszym artykule otrzymuję zazwyczaj poprawne, a nieraz także i dowcipne odpowiedzi od najmniejszych, którzy nigdy nie są w kłopocie. Mała Tetone ma zawsze odpowiedź w pogotowiu.

„Jesteś za malutka, Tetome, Pan Bóg cię pewno dostrzec nie może?" — „O, tak", zapewnia maleńka, „Pan Bóg mnie widzi; On wszystko widzi, bo jest wszędzie".

„Wszędzie? Przecież w piekle chyba Go niema?" — „Jest tam także". „A cóż tam robi?" — „Daje szatanowi to, czem on dręczy potępionych".

„A co robi Pan Bóg w niebie?"

„Bawi się z Aniołami". — „A w co się bawią mieszkańcy nieba?" — „Aniołowie śpiewają Dzieciątku Jezus pieśni".

„A co robił Pan Bóg przed stworzeniem Aniołów i świata?" — Na to pytanie milkną mali słuchacze i spoglądają pytająco po sobie. Naraz wyrywa się jedna z najmłodszych o rozbudzonej inteligentnej twarzyczce i odpowiada bardzo poważnie: „Pan Bóg się namyślał!" — „A gdzie był, kiedy się namyślał?" — Dziecko zastanawia się przez chwilę, poczem powiada z lekkiem wahaniem: „Był w powietrzu".

„Co czynisz wtedy, gdy robisz znak Krzyża św.?" pytam się innej. — „Odpędzam złego ducha". — „A dlaczego znak Krzyża św. odpędza szatana?" — „On się boi, bo znak ten przywołuje Boga".

U tych czarnych malców nigdy się niema ostatniego słowa!

Po skończonym egzaminie, pragnie każde opowiedzieć mi jakąś historję. Jedno wybiera sobie przedmiot z Historji świętej, o Kainie i Ablu, o ofierze Abrahama. Inny malec chce mi opowiedzieć stworzenie świata. Jeszcze inny woli teraźniejszość i zaczyna opowiadanie o ogromnem przerażeniu, jakie wywołała wśród nich ostatnia okropna burza. Wiatr, deszcz, grad i grzmoty, rozlegają się po kolei. „Powiedzieliśmy, że to pewnie koniec świata i zaczęliśmy odmawiać „Ojcze nasz". Sadia się wcale nie obudziła. Dabia zaś oświadczyła: „Idźmy do kaplicy, aby tam umrzeć przy Panu Bogu". Jamina wyrzekła: „Ja jeszcze nie jestem ochrzczona. Ja tak nie chcę umierać; ja zacznę dzwonić, aby przyszedł Ojciec i mnie ochrzcił. Siostra spała spokojnie. Kiedyśmy spostrzegli, że tak śpi spokojnie, zaczęliśmy ciszej rozmawiać, by jej nie zbudzić. Nie śmieliśmy także opuścić samowolnie sypialni". — „Ach", dodaje jeszcze Djoar, żebyś Siostra była widziała te ognie na niebie! Byliśmy przekonani, że gwiazdy z nieba popadają i spalą ziemię i my wszyscy pomrzemy".

Po tych pięknych historjach, rozdzielam małe książeczki pomiędzy te dzieci, które dobrze odpowiadały na egzaminie. Potem daję każdemu po kilka karmelków i rozstaję się z naszemi wychowankami, by z kolei zająć się dziatwą przychodnią. Około czterdzieści dzieci, okrytych w poszarpane, lecz dość czyste łachmany, zaczynają śpiewać mi krótką jakąś piosenkę.

Nie wystawiajcie sobie czasem, że lekcje z tymi małymi czarnymi uczniakami odbywają się na wzór lekcyj w szkółce wiejskiej w Europie. Każdego poranku około godziny ósmej zbiega się dziatwa z okolicznych gór „do szkoły". Ze-

garka nie mają i nie znają. Słońce czas im wskazuje. To też, gdy ono nie świeci, schodzą się o każdej godzinie przed południem — albo też nie przychodzą wcale. Prawie wszystkie dziewczęta od lat dziesięciu począwszy, dźwigają na plecach młodszego braciszka lub siostrzyczkę. Przy drzwiach szkoły są umieszczone dwa naczynia z wodą, aby dzieci zaraz na wstępie umyć się mogły. Starsze myją siebie i młodszych towarzyszy. W jednej i tej samej wodzie myją naprzód nogi, potem ręce, a na samym końcu twarz. Skoro tualeta skończona, wszystkie dzieci umyte, to ledwo co wody, a raczej brudu zostało się na spodzie miednicy. — Bardzo trudno zaprowadzić spokój w tej gromadce. Najmłodsze krzyczą, dziewczęta opowiadają sobie nowinki, albo też i kłócą się. Jedna z Sióstr bierze w opiekę maleństwa, kładzie je na ziemi i stara się uśpić je, ażeby w ten sposób zachowywały się cicho. W czasie tego Siostra-nauczycielka usadza uczenice w ławkach. Zaczynają czytać, rachować. Potem następuje lekcja robót. Wtedy opróżniają się ławki, ponieważ tym czarnym dzieciom natury łatwiej udaje się szycie, gdy siedzą na ziemi. W szkołach mniej licznych, gdzie jedna tylko Siostra zajmuje się wszystkiem, pozostają maleństwa w gniazdku na plecach starszej siostrzyczki przez całą lekcję. Wierna opiekunka uczy się, szyje, pracuje, nie rozstając się z powierzonym jej skarbem, czasem tylko sadza go obok siebie, aby móc wygodniej zająć się szyciem.

Już w marcu wzywał nas dzwonek na „Krucjatę modlitwy za Afrykę“ (od 16 do 25 kwietnia). Nie zapomnijmy o niej!

Jak to Rafał wstąpił do szkoły katechistów.

W Awakubi, w Wikarjacie Wodospadów Stanley'a, założono szkołę dla katechistów. W niej to pobożna i zdolna młodzież murzyńska miała się odtąd przygotowywać na nauczycieli. Pośpieszyli do szkoły ochoczo młodzi kandydaci, dwóch wśród nich aż nawet pod opiekę samego Ks. Biskupa Grison'a, który udając się na wizytację swego okręgu, postanowił nie ominąć i Awakubi i chętnie zabrał ich ze sobą. Ks. Biskupowi towarzyszyło prócz tego jeszcze dwóch innych chłopców, starszy w roli kościelnego, dla pilnowania porządku po kościółkach i kapliczkach podczas odprawiającego się nabożeństwa, młodszy zaś pełnił obowiązki ministranta i służącego, służył do Mszy św., rozstawiał łóżko polowe Ks. Biskupa, nakrywał do stołu, był kucharzem. Chłopiec ten nazywał się Rafał, był nader pojętny i roztropny. Każdego wieczoru podczas owej wizytacyjnej podróży, urządzał Ks. Biskup w miejscowości, gdzie wypadł postój, coś w rodzaju szkoły. Pomagali mu dzielnie dwaj przyszli katechiści, a mały Rafał zasiadał w gronie uczniów, przyswajając sobie pilnie już to katechizm, już to czytanie, lub rachunki. Przy pogodzie odbywały się lekcje pod gołem niebem w obecności licznej gromady małych czarnych ciekawskich.

Pewnego wieczoru, po skończonej nauce, zwierzył się Rafał Ks. Biskupowi, że i onby bardzo pragnął wstąpić do szkoły katechistów. Zamiar ten zaskoczył Ks. Biskupa. Potrzebne były pewne przygotowania. Narazie uspokoił nalegającego malca temi słowami: „Skończymy wpierw z wizytacyjną podróżą. Jeśli nie zmienisz twego

postanowienia, możesz w roku przyszłym rozpocząć kursa w Awakubi".

Podróż wizytacyjna trwała już dwa tygodnie. Był listopad, pora deszczów. Dnia jednego, po rozbiciu na nocleg namiotu z mocnem pokryciem z liści, w celu zabezpieczenia się od ewentualnej ulewy, zerwała się nagle silna burza z oślepiającemi błyskawicami i grzmotami ogłuszającemi, deszcz zagrażał potopem. Strudzeni podróżni zasnęli mimo to twardym snem, polecіwszy się Bożej Opatrzności. Nazajutrz deszcz padał bez przerwy, a powietrze ochłodziło się znacznie. Ponieważ trudno było czekać końca ulewy, która zapowiadała się na dłużej, ruszył Ks. Biskup z towarzyszami w dalszą drogę. Niebawem jednak okazały się złe następstwa podróży podczas niepogody. Ks. Biskup Grison oraz mały Rafał zapadli na febrę. Chorzy — wśród afrykańskiej puszczy, bez wygodnego łóżka, bez troskliwej opieki, bez lekarza! Trzeba było sobie radzić, jak się mogło. Na szczęście obaj pacjenci czuli się następnego dnia trochę lepiej, tak że mogli od biedy ruszyć dalej. Wkrótce jednak wyczerpały się zupełnie siły małego Rafała. Już bowiem przed chorobą męczyła chłopca długa podróż po drogach niedogodnych, uciążliwych, więc cóż dopiero teraz, kiedy wycieńczony febrą organizm, szczególnie słabe nogi wypowiadały posłuszeństwo. Trzeba było sklecić naprędce jakie takie nosze, wyszukać w pobliskiej wsi czterech tragarzy, by nieśli chorego w ciągu dni następnych. — Młody Czytelniku, o ile miło i przyjemnie spoczywać na wygodnym hamaku w cienistym ogrodzie, o tyle męczącem jest dla chorego dać się wlec wśród skwaru lub nawałnicy po nierównych drogach na noszach nieszczególnych!

Ale wszystko mija na tym świecie, minęła więc i ta podróż-umartwienie, dotarto do Awakubi. Spędzono tam święta Bożego Narodzenia. Mały Rafał wrócił do zdrowia, czuł się jednak zawsze jeszcze bardzo osłabiony. Ksiądz Biskup nie miał odwagi brać chłopca ze sobą w dalszą podróż, tembardziej, że droga zapowiadała się przez góry. Zawołał go więc dnia jednego do siebie i powiada: „Mój mały przyjacielu, Bóg miłosierny wysłuchał twej prośby, zostaniesz w Awakubi już teraz. Za tydzień rozpoczynają się nauki w szkole katechistów, rozpoczniesz je i ty". Co za niespodzianka dla Rafała! Z jednej strony ucieszył się ogromnie, że do upragnionej szkoły uczęszczać będzie, z drugiej jednak żal mu było że przestanie usługiwać Ks. Biskupowi, żal, że nie zobaczy gór o szczytach pokrytych wiecznym śniegiem. W swej prostocie zwrócił się do Ks. Biskupa Grison'a z nieśmiałem pytaniem: „Poszedłbym chętnie jeszcze dalej z tobą Ojcze, bo jak ty się obejdziesz bez mojej pomocy?" Misjonarz uspokoił serdeczne obawy malca. „Postaram się tutaj w Awakubi o silnego chłopca, umiejącego służyć do Mszy św. Powoli wciągnie się on potem i w inne obowiązki. Coby mi matka twoja powiedziała, gdybyś mi w drodze zmarł? Pragnąłeś pozostać tutaj, Pan Bóg cię wysłuchał".

I tak — mały Rafał wstąpił do szkoły katechistów. Czuł się w niej bardzo zadowolony, szczęśliwy. W cztery miesiące później napisał do Ks. Biskupa bardzo serdeczny list z gorącą prośbą o przyjęcie go do Małego Seminarjum w Bafuwabaka. Biskup Grison przyrzekł mu to z radością, o ile wytrwa w postanowieniu, a w szkole zadowolni swoją pracą i sprawowaniem nauczycieli.

W wigilję święta Wniebowzięcia Najśw. Marji Panny przybył Rafał z kolegami do domu na wakacje, wesoły jak ptaszek i do tego z dobremi stopniami.

Cieszyli się synem ojciec i matka, cieszył dobry Ks. Biskup, wspominając dawne czasy, kiedy to, lat temu 50, i on wracał po raz pierwszy do domu rodzicielskiego na miłe wywczasy.



Jeszcze słówko o termitach.

(Siostra Józefina Ulmann, ze Zgromadzenia SS. Misjonarek Przenajdroższej Krwi P. Jezusa. — St. Michaels, Afryka południowa).

Tyle już pisano w »Murzynku« o termitach. A jednak opowiem znowu coś niecoś o tych żarłocznych stworzonkach, bo poprzegryzały nam świeżo dach kościółka, a w innych zabudowaniach stoczyły deski aż do strychu, tak, że obecnie pada deszcz do wnętrza aż miło. Tak, tak. z powodu tych zwierzątek musimy ciągle tylko naprawiać i naprawiać. Nieraz zjawiają się niespodzianie pod osłoną nocy, a że maszerują tysiącami, wyrządzają, zanim się człowiek spodzieje, szkody niemałe. I tak n. p. wstawiłam duży kosz pełen bielizny do szwalni. Kiedy się nieco później chciałam zabrać do sporządzania, roiło się w koszu od termitów. Przegryzły w kilku miejscach podłogę, wygryzły dno kosza, stoczyły bieliznę, rozpoczynając budowę mrowiska.

Termity rozmnażają się nadzwyczaj prędko. Każda królowa bowiem składa dziennie kilkanaście tysięcy jaj. Jaja te są tak maleńkie, jak drobniutkie punkciki. Królowa termitów, a także i król nie mogą wychodzić ze swego mieszkania, są w niem zamurowani. Przez małe otworki, w jakie zaopatrzony jest ich pałac królewski, przynoszą im mniejsze termity żywność konieczną. Tą samą drogą wynoszą także jaja, by je umieszczać w lokalach, dla nich przeznaczonych. Mieszkania jaj są zbudowane z drzewa prze-

żutego, trawy, papieru, sukna i t. p. Ów materjał budowlany stanowi także i żywność młodych termitów, czyli białych mrówek, jak je najczęściej nazywamy. W okół mieszkania królowej są wzniesione liczne rusztowania z ziemi, na których się potem umieszcza mieszkanie dla jaj. Całość znajduje się w ziemi w okrągłym otworze, mającym nieraz pół metra średnicy. Miljardy jaj i młodych termitów przebywają w tem »mrowisku«, którego po zewnętrznym zwykłym wyglądzie powierzchni ziemi ani przypuszczasz w tem miejscu. Jedynie znający się dobrze na rzeczy poznają po twardości gruntu, że stoją przed pałacem a raczej na podziemnym pałacu termitów. Ziemia bowiem jest twarda jak kamień, a skoro się ją rozbije łopatą, ukazują się otwory we wszystkich kierunkach. Otworami temi wydobywają się młode termity, gdy wyrosną. Opuściwszy pierwsze mieszkanie, budują znane ogólnie wysokie pagórkowate, stożkowate mrowiska. W tych mrowiskach napróżno szukałbyś królowej; kryje się ona zawsze na uboczu w podziemnym swym pałacu i nie łatwo ją dostać.



ODPUST ZUPEŁNY

którego pod zwykłemi warunkami dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicji św. Piotra Klawera, a więc i członkowie „Ligi dzieci dla Afryki“:

Dnia 26 kwietnia w uroczystość M. B. Dobrej Rady, szczególnej Patronki Sodalicji św. Piotra Klawera.

Dnia 29 kwietnia w dzień św. Piotra, męczennika (rocznica założenia Sodalicji św. Piotra Klawera).



Nakładem Sodalicji Klawerjańskiej.

Odbito w drukarni »Czasu« w Krakowie,
pod zarządem Leopolda Wójcika.

wna 5.90; Rydzkowska 10.—; Kuźniewska 5.—; Mixtackie 5.—; N. N. 5.—; Ratajczakówna 5.—; Napierałowa int. dzięk. 10.—; za uzbierane kasztany od dzieci z Goli 8.—; Wierzcholska 6—; A. Mikołajczykówna w K. 9.86; dzieci z Żerkowa 5.40; p. M. Smoluchówna 6.—; p. E. Pietrasówna 6.50; p. E. Zielińska 1 lirę.

Gwiazdka dla murzynków: B. Stadnicka 43.85; R. Koźbiałówna 5.—; F. Hutynkiewiczowa 10.—; M. Sowińska 50.—; M. Bobińska 12.—; Pawłowska 9.—; Z. Budysz 5.—; Przybylska na utrzymanie dziecka murzyńskiego 20.—; M. Gizela Elżbietanka w S. ze skarbonki 38.05; z drobniejszych ofiar i bezimiennie 123.60 zł.

„Liga dzieci dla Afryki": B. Pallas 12—; Końcówna w B. 5.30; Szkoła Powszechna XII. 18.85; z drobniejszych ofiar i bezimiennie 105.18 zł.

5.20 zł. zebrały uczenice klasy II gimnazjum Władysławy Langa w Warszawie na drukowanie katechizmów w języku murzyńskim.

Dzieci z Wzorówki przy Seminarjum p. M. Żelisławskiej złożyły ze skarbonki „Murzynka" 15.37 zł.

Jak pracują dzieci w Świeciu dla Misyj.

Dzieci w Świeciu kochają Misje afrykańskie, o tak, kochają bardzo. Staraniem Wieleb. Księdza Lehmana, dyrektora tamtejszego Stowarzyszenia Dzieciątka Jezus, urządziły dnia 9. X. 1927 r. Wieczór misyjny o wielce urozmaiconym programie. Zainteresowanie się wieczorkiem było tak wielkie, że już na generalnej próbie dziatwa zapełniła salę po brzegi. Ksiądz Dyrektor wygłosił piękny wykład na temat: „Dzieci chrześcijańskie, ratujcie dzieci pogańskie", przedstawiając w nim młodocianym słuchaczom we wzruszających słowach biedę i nędzę nieszczęśliwych dzieci pogańskich oraz zachęcając ich do modlitwy i ofiar pieniężnych. Nazajutrz na przedstawieniu miał miejscowy dziekan, Przewieleb. Ks. Konitzer, odczyt na tle słów Chrystusa Pana: „Żniwo jest wielkie, ale robotników mało". Wykazując w cyfrach zastraszającą ilość pogan, podkreślił przekonywująco wynikający stąd ogrom pracy misyjnej, w której wszyscy wytrwały a ofiarny winni brać udział, „aby rychło nastała jedna owczarnia i jeden pasterz". Ogólnie podobał się dialog „Rozmowa Polaka z małym murzynkiem" oraz śpiew solo-

wy jednej z uczenic szkoły powszechnej. Dobrze też zadeklamowały dzieci wiersze: Dzieci murzyńskie do narodu polskiego i Prawdziwe szczęście. Sztuczka „Wezwanie Boże“ została odegrana z podziwu godnem przejęciem. To też publiczność nie szczędziła oklasków. W przerwach sprzedawano pisemka misyjne. Dnia 16. X. 1927 r. powtórzono wieczornicę w Przechowie, wiosce oddalonej o 3 km. od Świecia. Czysty zysk z wieczornic przeznaczono na podarek chrzestny dla piętnastu murzynków. Chcecie wiedzieć, jakie im wybrano imiona? Jan, Paweł, Władysław, Kazimierz, Bolesław, Witold, Łucja, Marja, Wanda, Gertruda, Marta i dwie Bronisławy i dwie Heleny.

Radość miały dzieci w Świeciu z owego misyjnego wieczoru, radość była w Sodalicji z nadesłanej ofiary, cieszyć się będzie — da Pan Bóg przez całą wieczność — aż piętnaście dusz biednych murzyńskich dziatek, największa zaś radość dla Najsłodszego Serca Boskiego Zbawcy, który za dusze ludzkie przelał Krew Swą aż do ostatniej kropli.

Dlaczegóżby i inne dzieci nie miały pójść za przykładem małych przyjaciół Misyj w Świeciu?



